

MAŁGORZATA CZYŃSKA

DWURNIK

ROBOTNIK
SZTUKI

MARGINESY



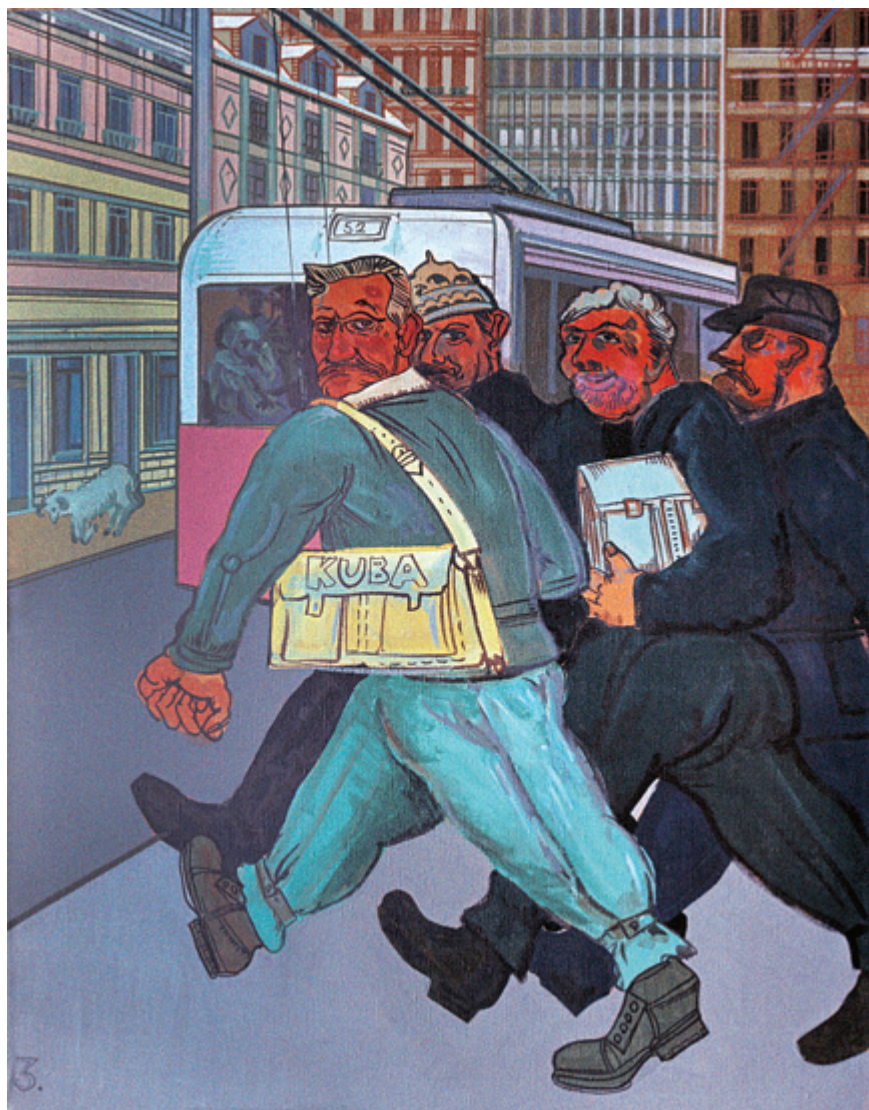
**Fundacja
Edwarda
Dwurnika**

Pieczę nad dorobkiem i archiwami Edwarda Dwurnika sprawuje
Fundacja Edwarda Dwurnika założona przez rodzinę artysty
w 2019 roku w Warszawie.
dwurnik.pl

COPYRIGHT © BY Małgorzata Czyńska

COPYRIGHT © BY Apolonia Dwurnik

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023



Do pracy
z cyklu *Sportowcy*,
1972

MOJE KRÓLESTWO.
TAŚMOCIĄG DWURNIKA

Czy dziennikarze pytają cię jeszcze w ogóle o malarstwo?

O jakie malarstwo? Oni mnie pytają o kolegów, kobiety i samochody. *Sex, drugs and rock and roll*. O ubrania, buty, bieliznę i tak dalej. Potem piszą, że Dwurnik jeździ porsche albo mercedesem AMG. Informacje o posiadaniu dóbr materialnych są dla nich najważniejsze. Oczywiście to jest fajne, bo przecież kocham swoje samochody. Uważam, że dobry malarz powinien być zadowolony z życia, zdrowy i bogaty. Praca ma przynosić apanaże. Niektórzy cytują moją opinię o tym, że dobry tiszert powinien kosztować tysiąc złotych.

Kiedyś powiedziałeś, że tysiąc to za mało.

No bo co to za tiszert za tysiąc złotych?

A jaki teraz masz na sobie?

Ten jest zwykły, za pięćdziesiąt.

No i co? Dobry jest?

Skąd, do niczego, służy mi za fartuch do wycierania pędzli.

Znowu grasz pod tabloidową publiczkę.

Szybko wchodzę w rolę.

Upierałabym się głupio, że kiedy dziennikarz przychodzi do malarza, powinni porozmawiać o sztuce, dla zasady, chociaż trochę.

Ale jego nie interesuje sztuka, tylko zupełnie co innego.

I nie przeszkadza ci to?

Nie przeszkadza, bo przy okazji mówię też trochę o sztuce, żeby zaciekawić jakiegoś dziennikarza, nie powiem „dziennikarzyne”, bo mam kilku przyjaciół wśród dziennikarzy. Na przykład fajnego kolegę Roberta Mazurka, trochę pijaka, i brak nam fartu, żeby się razem spać, może raz nam się udało – zrobiliśmy wtedy z siedem butelek wina. Mniej więcej co dwa lata przychodzi do mnie i sobie gadamy, to znaczy on przeprowadza ze mną wywiad, i właśnie niedawno powiedział, że niedługo znów sobie pogadamy do „Uważam Rze”. I robi ten wywiad tak, żeby bardzo pokazać siebie, pochwalić się, że mnie zna, i nawiązuje do różnych historii, jak to się razem spiliśmy.

Niezły lans: upić się z Dwurnikiem.

No tak, ale jednocześnie wciąż mnie naciąga, żebym powiedział coś poważnego o sobie i swojej twórczości. A co można powiedzieć poważnego o swojej twórczości, skoro to jest dziedzina szalenie umowna, dyskretna, intymna? O takich rzeczach się nie mówi. Tak samo jak nie pyta się kobiety, czy było jej z tobą w łóżku dobrze czy źle. To się wyczuwa. Albo ma się z kobietą udany stosunek i przeżywa się naprawdę piękne chwile, albo to tylko seks bez emocji. A mnie to na ogół nie interesuje. Zawsze szukałem przeżyć, nie pieprzenia. Przepraszam za dosadne sformułowania, ale to się wprost przekłada na sztukę. Jak można tłumaczyć malarstwo komuś, kto go nie czuje? Tego się nie przekaze. Albo czujesz obraz, albo nie. Albo on na ciebie działa, albo nie. Nie chodzi o prosty zachwyt, ale o oddziaływanie. To wcale nie musi być przyjemne doznanie. Niedawno miałem spotkanie z pracownikami Hestii w Sopocie. Myślałem, że będzie tłumek, a przyszło raptem piętnaście osób, które albo nie spieszyły się po pracy do domu, albo po prostu chciały mnie poznać. Organizatorem był krytyk sztuki

Boguś Deptuła i to było pierwsze w tym cyklu spotkanie z artystą malarzem. Takie wydarzenia to sposób na zarabianie pieniędzy, dostaliśmy po tysiąc złotych. Wcześniej był jakiś pisarz, kompozytor, nawet Moździerz był. W księdze pamiątkowej podpisałem się obok niego i namalowałem wielkiego fiuta, co bardzo ucieszyło pracowników Hestii.

A na koniec Boguś miał niesamowite wystąpienie podsumowujące moją twórczość. Ogromnie mnie zdziwiło, w jaki sposób mnie odbiera i jak mnie traktuje. Nigdy mi o tym nie mówił, choć znamy się od lat, pisał teksty do moich wystaw i o wystawach. Przypomnił jedno zdarzenie z 1981 roku, kiedy akurat nastąpiło rozluźnienie polityczne, bo okazało się, że Rosjanie mają czołgi z gliny i wyrzutnie atomowe z tektury i nic nie zrobią naszej rewolucji. Gdyby mieli normalny sprzęt, wszystko by u nas zduśli. Wracając do Bogusia, w baszcie Prochownia odbywał się wieczór poezji i szesnastoletni Boguś brał w nim udział jako młody poeta. Zobaczył tam moje płótno, które tak go zbulwersowało, że bał się, że za chwilę zwymiotuje. To był dla mnie bardzo ważny obraz, do dziś wszyscy się go boją. W 2013 roku, kiedy miałem wielką wystawę w Krakowie w Muzeum Narodowym, w katalogu znalazły się wszystkie eksponowane prace z wyjątkiem tej jednej, pod tytułem *Obłąd ludu*. Mówię na nim o wydarzeniach z Gdańska 1970 roku, kiedy wojsko strzelało do robotników. To jest bardzo realistyczna kompozycja: jedni robotnicy pchają na wózkach innych robotników, a do nich strzelają z kałasznikowów zomowcy. Żołnierze mają orzełki na hełmach, a robotnicy – kaski stoczniowców. Mariusz Hermansdorfer kupił nawet kiedyś ten obraz do Muzeum Narodowego we Wrocławiu, ale zwinął płótno i schował do magazynu. Zawsze był chowany i nie wiem, czy kiedyś doczeka się dołączenia do ekspozycji stałej. Nawiasem mówiąc, Hermansdorfer jest orędownikiem mojej sztuki, więc na pewno docenia ten obraz.

Kiedy w 1984 roku Andrzej Szczygieł kręcił o mnie film dokumentalny zatytułowany *Portret z natury*, powiedziałem mu o tym obrazie i on go po cichu wyciągnął z magazynu, rozłożył na podłodze i szybko sfilmował. Film składa się z dwóch części: najpierw jest idylla, widać ogródki działkowe, jakiś chłopak śpiewa piosenkę i w pewnym momencie ta sielskość się urywa, wchodzi ponura muzyka, znika kolor i ukazują się dwa płótna – *Turoń* i *Obłąd ludu*. A historia jest taka, że jeden z uczestników marszu na komitet wojewódzki w Gdańsku szedł w nastawionym bardzo bojowo tłumie, naprzeciwko stał oddział ZOMO i w pewnej chwili ten robotnik zorientował się, że jest pierwszy, na czele pochodu. Chciał się wycofać, ale koledzy napierali na niego od tyłu. Później zomowcy zaczęli strzelać i został ranny. Okropny jest ten obraz. Byłaś na wystawie w Krakowie, prawda? Widziałaś go?

Byłam, widziałam.

I Boguś właśnie to wspominał. Oczywiście nie wymiotował.

Henryk Waniek napisał kiedyś, że w pierwszym kontakcie z twoją sztuką część odbiorców przechodzi przez etap niechęci. Może stąd u niektórych ten odruch wymiotny.

Coś w tym jest. Opowiem ci inną historię na ten temat. Pod koniec 1974 roku wystawiałem się w Galerii Teatru Studio prowadzonej wtedy przez Marię i Janusza Boguckich. To była wspólna wystawa z Jerzym Kaliną. Pierwotnie miała się odbyć w Galerii Współczesnej, ale Boguccy stracili to miejsce i musieli zmienić lokalizację.

Jerzy Kalina robił tam głupoty, niby jakąś instalację, a ja pokazałem *Sportowców* – brzydkie obrazy o nędznej egzystencji typowego Polaka w beznadziejnych czasach komunizmu. Ten cykl zacząłem malować w 1972 roku. Bohaterowie pracy socjalistycznej. Ironia i prawda. Więcej prawdy niż ironii, bo nigdy nie naśmiewałem się z tych ludzi; pokazywałem niedoskonałość i ograniczenia



Z obrazem
pod tytułem
Kolacja z cyklu
Sportowcy, 1972

człowieka, własne ograniczenia, pułapkę systemu, w której tkwieliśmy jak w potrzasku. To były typy ludzi, których widywałem codziennie. Na tej wystawie podszedł do mnie mój kuzyn i powiedział, że musiał na chwilę wyjść, żeby się wyrzygać.

Tak na niego podziałali *Sportowcy*?

Właśnie tak. Może się nie wyrzygał, może odetchnął i zaciągnął się sportem, jak prawdziwy „sportowiec”, bo wtedy to były najtańsze papierosy. Ludzie powszechnie myślą, że nazwa cyklu obrazów *Sportowcy* wzięta się od dyscyplin sportowych, ale wcale nie, bo co to za sporty uprawiał przeciętny Polak w PRL-u? Rozpychanie się łokciami i palenie sportów. Wszyscy je kurzyli. Ja nie. Jeśli już miałem palić, to wołałem jakieś dunhille albo cygaretki, czyli niby-cygara, ale nie cygara, tylko papierosy z ustnikiem. Dunhille były tylko w peweksie za bony. Rzuciłem palenie, kiedy urodziła się Polcia, w 1979 roku. Byłem bardzo pochłonięty malowaniem, rysowaniem, ale dzieckiem się zajmowałem – kąpałem, usypiałem. Teresa była przemęczona. Gdy Pola była malutka, woziłem ją do Wilanowa albo do Powsina, miałem wtedy volkswagena golfa. I w zasadzie rzuciłem palenie z dnia na dzień. Miałem jednak koleżankę rzeźbiarkę, która namiętnie paliła sporty, i to było okropne, bo kiedy przychodziła do nas w odwiedziny, musieliśmy potem pół dnia wietrzyć. Pracownię w akademii potrafiła sama zadymić w trymiga. Nazywała się Ewa Kiliszek, mieszkała na Pradze, w czasach studenckich miała czerwone kozaczki i bardzo duży biust. Któregoś dnia podczas egzaminu na prawo jazdy instruktor ją opieprzył i kazał jej zdjąć szpilki, a ona powiedziała, że nie potrafi chodzić na płaskim obcasie, bo ją boli kręgosłup. Wysiadła z samochodu i nigdy nie zrobiła prawa jazdy.

Dygresja nam się wkradła.

Wracam więc do malarstwa i spotkania w Sopocie. Bogusław przypomniał sobie swoje odczucia i wygłosił osobiste exposé.

Zresztą mam nagraną tę jego wypowiedź. Kupiłem swojemu asystentowi dwie kamery. Są wielkości połowy iPhone'a. Wyglądają jak trochę większe pudełka od zapatek na wysięgnikach.

Dbasz o dokumentację. A co jeszcze cię zaskoczyło w jego podsumowaniu ciebie?

Cóż... Porównał mnie z dwa razy do Goi.

Pochlebne.

Uhm.

Ale właściwie czemu nie?

Nie, no bez przesady.

Niesamowite! Skromny Dwurnik!

A poza tym podsumował moją twórczość, zna ją przecież tyle lat, jej różnorodność, od wygłupu do bardzo poważnych prac. To jest nie do powtórzenia. To trzeba obejrzeć. Pierwszy raz widziałem, żeby krytyk do tego stopnia się rozkręcił i zaczął improwizować tak, że zapomniał, że już pora się rozchodzić. Publiczność też zapomniała. I to było piękne.

Odnosnie do naszych rozmów, najbardziej boję się, czy odróżnię twój blef od prawdy. Jesteś znanym blagierem.

Będę się starał mówić prawdę. Tylko pamiętaj, że nie za bardzo potrafię rozmawiać na poważne tematy, intymne, wzruszające.

Malujesz poważne tematy – historię Polski, ludzką egzystencję, relacje damsko-męskie, miłość. O miłości nic nie powiesz?

Łatwiej mi malować niż mówić. U mnie obraz jest formą wypowiedzi, malarstwo to mój sposób na życie i nie chodzi tylko o to, że to mój sposób zarabiania, nie – malując, komentuję rzeczywistość i wyrażam siebie. Tyle.

Oczywiście mogę powiedzieć coś na każdy temat, o miłości też mogę, czemu nie. Zresztą to tak ważna sfera, że w szczerym wywiadzie na swój temat trudno ją pominąć, trudno udawać, że jej nie ma. Są jednak różne sytuacje życiowe, które wprowadzają mnie

w łzawy nastrój, w jakim jestem w tej chwili. Ale przepraszam, to zaraz minie.

Masz dzisiaj łzawy nastrój? Nie uwierzyłabym, gdybym nie zobaczyła na własne oczy. Kiedy czyta się wywiady z tobą w kolorowych magazynach, wydaje się, że nie ma dla ciebie tematów tabu i że dziennikarz może cię zapytać o największe intymności, a ty nie wzdragasz się przed odpowiedzią, więcej – chętnie nawijasz. Taka kreacja?

Tak, to pewna kreacja, choć odrobina prawdy zawsze jest w tym moim manipulowaniu, nawijaniu. Niedawno w wywiadzie dla „MaleMEN” powiedziałem, że zatrudniam trzech architektów, którzy robią mi podmalówki. A to nie architekci, tylko kto inny robi dla mnie podmalówki.

Przynajmniej nie ukrywasz, że ktoś robi ci podmalówki.

No właśnie. Zaraz przyjedzie mój asystent i przywiezie mi jedną, chyba warszawską Starówkę. Podmalówka polega na wykonaniu fizycznej roboty, zwyczajnej harówki. Trzeba zrobić ustawienie urbanistyczne, a ludzie, którzy dla mnie podmalowują, starają się to wykonywać bardzo sumiennie, żadnej fuszerki nie puszczam. A ja to trochę zmieniam, wyciągam, wyrównuję albo przekrzywiam, jeśli jest za bardzo od liniiki. Później zaczyna się wzbogacanie, opowiadanie, cała narracja i kreacja obrazu. Ustawiam światło i tak manipuluję podmalówką, aż staje się absolutnie moja. Niektórzy radzą mi, żeby to trzymać w tajemnicy, że lepiej, by klient nie wiedział o moich pomocnikach, i tak dalej. A ja mówię: sekretu nie robię, nikogo nie oszukuję. I skoro już o tym szczerze opowiadam, to skorzystam z okazji i oświadczę na łamach niniejszej publikacji, że gwarantuję, że kiedy się kupuje w galerii obraz Dwurnika, to jest to obraz Dwurnika. No chyba że ktoś mnie chamsko podrabia. Rynku podrób nie kontroluję.

Od dawna uprawiasz ten proceder?

To, że ktoś może za mnie robić podmalówki, odkryłem wiele lat temu. Moja kuzynka była w ciężkim stanie psychicznym, miała depresję. Skończyła ASP, więc namówiłem ją, żeby malowała dla mnie akwarele – proste motywy. Jej to poprawiło samopoczucie, a ja miałem piękne podmalówki. Bardzo mi teraz brakuje jej pomocy, bo wszystko muszę robić sam. O cholera, przecież już przyznałem, że mam pomocników. No dobra, korzystam z przywileju bycia dobrym artystą i mogę sobie pozwolić na współpracowników. W historii sztuki to przecież normalna sprawa; nie będę mówił, ilu uczniów i pomagierów miał Rubens, nawet nie wiem. Żeby zostać na polskim podwórku, wystarczy wymienić Kossaków. Tata Wojciech podpisywał obrazy słabszego synka Jerzego, żeby się lepiej sprzedawały, a synek ojca – żeby poprawić sobie reputację. A potem to już w ogóle obrazy Jurka zapieprzali podwykonawcy.

Niektóre obrazy z tej „produkcji” są jednak ewidentnie słabsze.

Każdemu zdarzają się słabsze obrazy, moi współpracownicy jednak już się wyspecjalizowali. Zawsze się staram, żeby było porządnie, żeby klienta nie robić za bardzo w konia. Teraz już na każdej pracy są stempel i opis. Kiedyś miałem współpracownika, który malował akwarelami bardzo ładne kwiaty. I zdarzało się, że w ogóle nic tam nie ruszałem, tylko podpisywałem. Nie sprzedawałem tego, dawałem ludziom ekstra, w prezencie.

Zawsze masz pakiet akwarelek do rozdania.

Kiedy trafia się dobry klient, który kupuje mój obraz za konkretne pieniądze, to dorzucam mu akwarelkę z kotkiem czy kwiatkiem i on zawsze bardzo się z tego cieszy.

Lubisz jednak wkręcać dziennikarzy.

Uwielbiam. Mam przy tym niezły ubaw. Kiedyś zadzwonili do mnie z jakiegoś radia z pytaniem, czy żyję ekologicznie. Powiedziałem, że tak, jak najbardziej jestem ekologiczny, bo jeżdżę mercedesem na prąd. Poszło w eter i zaraz rozdzwończyły się telewizje,

gazety, żebym się dał sfotografować, sfilnować z tym ekomercedese-
sem. Nawet jakiś diler pytał mnie, gdzie takie auto kupiłem. A to
była ściema.

Wkręcałem wszystkich głównie w kwestii swojego olewające-
go stosunku do kolegów malarzy. A to nieprawda, bo bardzo szanu-
ję kolegów po pędzlu. Wiem, że mają swoje problemy, wątpliwości,
rozterki, a ja celowo się z tego śmieję, żeby zmanipulować dzien-
nikarzy, dać im pożywkę do pisania głupot. I mówię, że jest tylko
trzech dobrych malarzy w Polsce, między innymi ja. Albo tylko ja.
To strasznie wkurwia środowisko i pokazuje, że wszyscy traktują
siebie bardzo serio. Zero dystansu. A malarz powinien mieć dy-
stans wobec własnej twórczości, pewność siebie. Bez tego nie zbu-
duje się w obrazie szczególnego rodzaju napięcia. Szczerze mó-
wiąc, uważam, że wcale nie jestem najlepszym malarzem, wręcz
zazdroszczę wielu artystom ich rozwiązań, ich pomysłów.

Ciekawe, czy teraz mnie wkręcasz.

Nie wkręcam.

W życiu nie powiedziałaś czegoś takiego.

Przecież jestem zazdrosny i zawistny, dlatego się wkurwiam.

Komu zazdrościsz?

Bardzo zazdroszczę na przykład Leonowi Tarasewiczowi, to
jest fantastyczny malarz. Ja nigdy bym się nie odważył na insta-
lacje, a on realizuje całe potężne przedsięwzięcia. To w gruncie
rzeczy jest dla mnie głupie i absurdalne, bo instalacje uznają za
blef, a mimo to chciałbym tak samo. A obrazy maluje rewelacyjne.

Kiedy zetknąłem się z Wilhelmem Sasnałem, trochę mu za-
zdrościłem wizji, umiejętności, że maluje tak, a nie inaczej. Taki
był młody, przyjeżdżał do Warszawy z plecaczkiem i z obrazami
i sprzedawał je tu, a ja kupowałem je od niego. A potem zamalo-
wywałem. Pamiętasz, na jego wystawie w Zachęcie w 2007 roku,
gdzie zresztą było wiele złych obrazów – ta wystawa przytrafiła się

mu za wcześnie, kiedy jeszcze nie miał zaplecza – znalazł się jeden przepiękny obraz zatytułowany *Las*.

Z 2002 roku, kłębowisko zieleni. Format malutki, a obraz dech zapiera.

To jego bardzo znany obraz, na ogół wszystkim się podoba. W pejzażu umieścił jeszcze malutkie postacie ludzi. Tu chodzi o gest, o pędzel, którym namalował cały las, to mocno oddziałuje na odbiorcę. Tego obrazka straszliwie mu zazdroścę. Że tak potrafił. Teraz więcej słyhać o Wilhelmie reżyserze, robi filmy z żoną Anką. Podobał mi się ten ich ostatni, *Z daleka widok jest piękny*. Tym bardziej że tytuł jest mi bliski. W 1970 roku w cyklu *Dyplom* namalowałem wielki obraz zatytułowany *A w dali spokojny pejzaż*. Na pierwszym planie jest oczywiście nawalanka, dwie grupy nacierają na siebie z dzidami, widłami, muszkietami, a za nimi widać wiadukt kolejowy, domy, czyste niebo.

A jednak zamalowałeś obrazy Sasnała.

Nie tylko jego! Bardzo lubię przerabiać obrazy chłopaków z Grupy Ładnie, więc oprócz Sasnała przemalowałem Rafała Bujnowskiego i Marcina Maciejowskiego. Lista zamalowanych jest długa, zaczynając od Andrzeja Wróblewskiego, Łukasza Korolkiewicza, Przemka Mateckiego, o gorszych malarzach nie wspominając, a kończąc na zwykłych landszaftach. Własną córkę przemalowałem. Podarowała mi obraz i powiedziała: „Tato, możesz z nim zrobić, co chcesz”. To nie były słowa rzucone na wiatr, wiedziała, czym to grozi. Wylałem na jej obraz kubek farby, namalowałem abstrakcję. Ludzie pewnie uznają, że to świętokradztwo zniszczyć pracę dziecka, ale moje dziecko wie, co to znaczy być malarzem, mieć imperatyw pracy. Traktuję cudze obrazy jak podmalówki. To jest wygodne, bo najtrudniej malarzowi zacząć obraz. Moment, gdy stajesz przed pustym białym płótnem, jest cholernie trudny, pełen wątpliwości. A kiedy zamalowujesz, to sprawa jest o wiele

prostsza, bo ktoś już coś przed tobą zaczął, coś zrobił, a ty to ciągniesz dalej, po swojemu.

I potem spotykasz się z zarzutami, że nie szanujesz cudzych prac, że jesteś bezczelny, arogancki i cham.

To niech ci pokrzywdzeni przemalowują mnie, proszę bardzo, nie mam z tym problemu. Tyle tylko, że nawet jeśli mają mój obraz, to żal im zemścić się w ten prosty sposób i pojechać farbą po Dwurniku. Raczej lecą sprzedać obraz w Desie Unicum i opowiadają na prawo i lewo, że duma im nie pozwala trzymać mojego obrazka w domu na ścianie. Taka to pozorna zemsta.

Zawsze możesz mówić, że to, co robisz, to gest artystyczny! I powołać się na duńskiego artystę Asgera Jorna (1914–1973), który od 1959 roku domalowywał swoje motywy na pracach innych. Kupował na pchlich targach obrazy dziewiętnastowiecznych artystów i wprowadzał „modyfikacje”. I też wszyscy się na niego oburzali, że nie uchodzi niszczyć cudzych dzieł.

Jorn był fajny. Proponował dyrektorom muzeów, że uaktualni im zbiory. Kaczuszki domalowywał, ja też lubię domalować kaczki, kotki, gęsi, psy. Można powiedzieć, że to dialog ze sztuką, z tradycją. Chętnie zrobiłbym wystawę zatytułowaną *Zamalowane obrazy*. I chętnie uaktualniłbym parę muzealnych kolekcji.

Nie żałujesz tych zamalowanych Sasnali i innych?

Żałuję, że przemalowałem obraz Korolkiewicza. Tak go zachłapałem, że nic nie widać. Wróblewskiego może bym trochę żałował, bo uwielbiam jego malarstwo, ale przecież nie zastanawiam się nad tym. Wyrzuty sumienia to nie moja domena, musisz o tym pamiętać. Zresztą nie martw się, pod farbą nic nie ginie. Obraz Wróblewskiego kupił na aukcji Andrzej Starmach i powiedział, że zdejmie moją warstwę. Wolał Wróblewskiego ode mnie. Nie obrażam się.

Jeśli miałem ostatnio jakąś artystyczną przyjemność, to na tegorocznej wystawie Wróblewskiego w Muzeum Sztuki Nowo-

czesnej. Najbardziej cenię jego rysunki i gwasze, również niektóre obrazy. Andrzej Osęka powiedział kiedyś, że Wróblewski nie umiał malować. Owszem, zdarzało się mu, że kiedy malował grupę kobiet, któraś z nich miała na przykład źle namalowaną stopę. Ale to właściwie musiało tak być. Jak inaczej miał malować, skoro tylko tak potrafił? Ja zresztą też miewam takie dylematy, kiedy maluję akt albo portret i stwierdzam, że jednak powinno być inaczej. Mówię sobie wtedy, że skoro już tak zrobiłem, to trudno, tak musi zostać. Na ogół nie chce mi się zmieniać. Choć czasem zmieniam. Kazi Szczuce w akcie przedłużyłem nogi o dwadzieścia centymetrów. To znaczy, żeby było jasne, ona mi nie pozowała. To była moja projekcja. Ktoś mnie zapytał: „Dlaczego ona ma takie krótkie nogi? No ale skoro takie namalowałeś, to pewnie takie ma”. Przedłużyłem jej pęciny i teraz wygląda lepiej.

Którym artystom jeszcze zazdrościsz?

Przede wszystkim moim idolom, dwóm Edwardom: Munchowi – to jest niesamowite zjawisko malarsko-graficzne, kupuję każdy jego album, jaki mogę dostać na Zachodzie, w Polsce też. Drugi to Hopper, nie mylić z winiarnią U Hopfera. Niedawno oglądałem *Śmierć komiwojażera* z Dustinem Hoffmanem, to jest sztuka Arthura Millera; sztukę, wiesz, trudno ekranizować, ale to jest tak filmowane, tak poustawiane, że czułem się, jakbym oglądał album Hoppera.

Kadry jak z jego obrazów.

Tak. Kobieta siedzi na drewnianym łóżku, dookoła niej puste szare ściany, obok łóżka stoi mężczyzna w garniturze. Niesamowite. Wciąż mam to przed oczami. Widziałaś?

Nie, sztuki nie widziałam.

A film? Kilka dni temu puszczała go TVP Kultura. Gra tam również John Malkovich, ale jest zupełnie nie do poznania. Albo

ma perukę, albo czarne włosy. Hoffmana mocno postarzyli, przecież on był wtedy młody.

Jeśli chodzi o polskich malarzy, to fascynacje mi się zmieniały. Najważniejszy jest Nikifor, ale o nim pewnie porozmawiamy później, o nim trzeba obszerniej. Ceniłem Włodzimierza Jana Zakrzewskiego, który był propagatorem socrealizmu, malował bardzo dziwne rzeczy. Przywędrował do Polski z Armią Wojska Polskiego, robił plakaty – na jednym z nich ukuł słynne hasło: „Olbrzym i zapluty karzeł reakcji”. Zrobił też duży cykl obrazów *Szlakiem Lenina*, które oczywiście były w zbiorach Muzeum Lenina. Kiedy w latach siedemdziesiątych pracowałem w Muzeum Lenina jako konserwator zbiorów, to znaczy chodziłem z gumką do mazania i ścierałem ślady paluchów po wycieczkach, oglądałem kilkakrotnie jego prace w magazynie i szczerze się nimi zachwyciałem.

To były dobre obrazy?

Świetne! Pejzaże, miejsca, w których Lenin mieszkał: Paryż, Poronin, widoki Tatr... Zakrzewski po prostu sobie jeździł i malował, władza mu to finansowała, a potem jeszcze dobrze sprzedał swoje prace. Układ idealny, sam bym tak chciał, każdy by chciał. Wielu utalentowanych malarzy zaliczyło romans z realizmem socjalistycznym, dla niektórych, na przykład dla Heleny i Juliusza Krajewskich, to był najlepszy okres twórczości. Lubię i cenię obrazy Krajewskich, Izaaka Celnikiera, Waldemara Cwenarskiego, Marka Oberlandera, Tomasza Gleba. Fantastyczne były sceny z robotnikami Gleba, jakies zjazdy do kopalni i tym podobne. Chciałbym się cofnąć do pierwszych lat po wojnie i pooglądać ówczesne niesamowite obrazy, na przykład sceny batalistyczne Michała Byliny – *Lenino, Hetmana Żółkiewskiego*... Podobało mi się to tak bardzo, bo było narracyjne, jak dla dzieci. Tak jak na moich obrazach.

Co do moich wzorców artystycznych, na pewno muszę wymienić jeszcze Picassa, którego rysunki zawsze śledziłem z ogromną

uwagą i fascynacją. Jest moim mistrzem, jeśli chodzi o rysunek. Nie wszystkie obrazy Picassa do mnie przemawiają, widziałem bardzo dużo kiepskich prac w jego paryskim muzeum w dzielnicy Le Marais. W niektórych widać pośpiech. Zdaję sobie sprawę, że tak bywa. Sam popełniłem kilkadziesiąt, a może i więcej, pospiesznych obrazów, które później najczęściej zamalowywałem. Tylko proszę nie mylić mojego zamalowywania z zamalowywaniem obrazów przez krakowskich nieszczęśników, jak Kantor, Brzozowski, Wróblewski czy Nowosielski, którzy malowali na drugiej stronie płótna. Oni tak z biedy robili, a ja po prostu zamalowuję. Bardzo często potem żałuję, bo okazuje się po latach, że tamte niby nieudane, odrzucone przeze mnie obrazy są fantastyczne. Wiesz, człowiek dojrzewa i zaczyna doceniać swoją pracę, którą kiedyś, po namalowaniu, po miesiącu czy dwóch, chciał zniszczyć. Całkiem niedawno coś zamalowałem, ale nie żałuję. To był portret krytyka sztuki i kuratora Adama Szymczyka z Fundacji Galerii Foksal. Zrobiłem z niego piękną abstrakcję.

Mam dalej wymieniać ulubionych malarzy? Delacroix, Basquiat, Freud, Matejko. Delacroix był wspaniały, nie ma co komentować. U Basquiata i Freuda podoba mi się gest, ekspresja. U Matejki lubię narrację. Ze sztuką jest tak, że patrzysz na niektóre obrazy i kompletnie ci zwisają, możesz nawet powiedzieć, że są kiepskie, a inne mocno odczuwasz. Pamiętam wizytę w Luwrze: tłum przed *Mona Lisą*, dopchać się do niej nie można, a dookoła wiszą cudowne obrazy Tycjana i Tintoretta, na które mało kto zwraca uwagę, bo wszyscy chcą tylko zaliczyć Leonarda da Vinci. I już nie pchałem się do *Mona Lisy*, bo tak niesamowicie poruszył mnie kolor tych płócien. Jedno było błękitnawe, drugie zielonkawe...

Uśmiechasz się z rozmarzeniem.

Patrząc na takie obrazy to jest przeżycie. O tym właśnie cały czas mówię. To jest cała tajemnica, żeby potrafić tak namalować.

Nawet nie pamiętam, co na nich było, jakieś tam scenki rodzajowe, nieważne, ale światło było niesamowite.

Malarstwo bywa takie sugestywne! Nigdy nie wiesz, jak zadziała. Pewien gość kupił ode mnie kiedyś obraz *Spalona wieś*, a potem wrócił i poprosił, żebym mu go wymienił na coś innego, bo nie może spać, tylko patrzy, czy gdzieś nie pojawi się ogień. Więc dałem mu inny obraz.

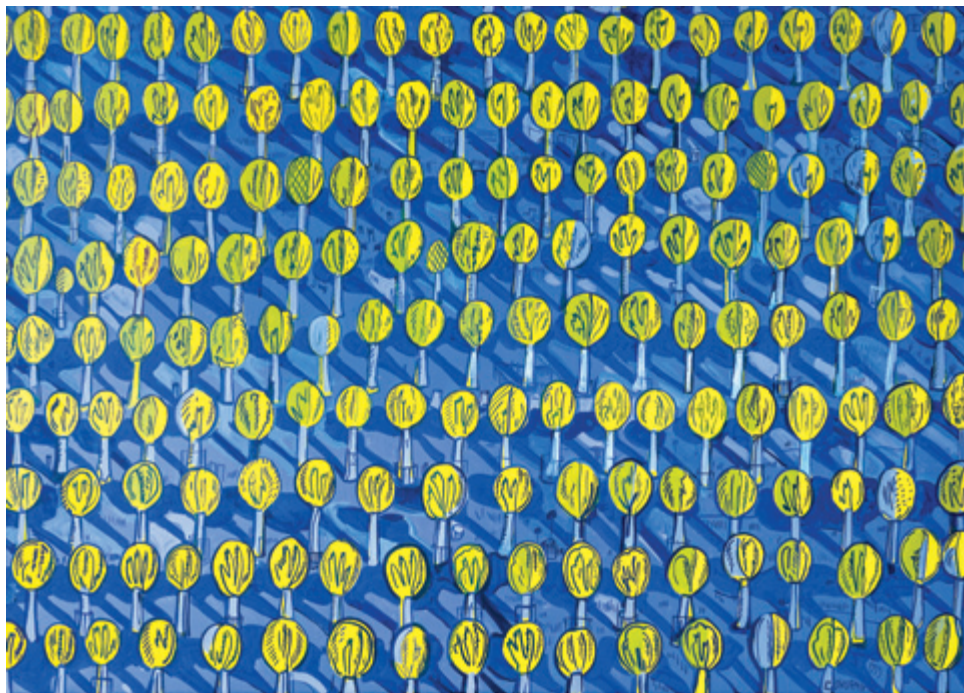
A wracając do Wróblewskiego... Szkoda, że tak krótko żył, umarł w wieku trzydziestu lat, podobno w niewyjaśnionych okolicznościach. Wracał z gór, zmarł sto metrów od przystanku autobusowego. Chorował na padaczkę, może miał atak. Podobnie krótki żywot miał Maksymilian Gierymski, brat Aleksandra. Taki fenomen twórczy występuje u ludzi przed trzydziestką, przed czterdziestką – genialne prace powstają na ogół wtedy, gdy artyści jeszcze nie są w pełni świadomi swojego kunsztu.

Co myślisz, patrząc na swoje prace, które tworzyłeś w wieku trzydziestu lat?

No właśnie, to są genialne prace. Ale ze świadomością nie mają nic wspólnego, to była czysta młodzięcza rozkosz.

Kolorowe magazyny zrobiły z ciebie króla życia. Zależało ci na takim wizerunku czy to raczej kreacja mediów? Albo dla mediów?

To jest moja zasłona dymna, ucieczka. Łatwiej wejść w rolę celebryty, błazna niż opowiadać o życiowych wątpliwościach albo serio o pracy. Znowu nie uwierzysz, ale jest trochę tak, że ja się nawet czasem krępuję, kiedy mówię ci o sobie, skoro jednak to ma być książka o mnie, to będę mówił. Zresztą zainteresowanie mediów to sprawa raptem ostatnich kilkunastu lat. Kiedy byłem w związku z Elżbietą Łebkowską, działaczką społeczną i biznesową, często bywaliśmy w tak zwanej Warszawce, chodziliśmy na wszystkie wernisaże, premiery, byliśmy na widoku. A że Ela wszystkich znała, to gazetki zaczęły się mną intensywniej interesować i tak to trwa.



Wiosenny ogród z cyklu Dwudziesty trzeci, 1999

Malujesz dwieście obrazów rocznie, w porywach nawet więcej. Wyobrażasz sobie życie bez malowania? Mógłbyś odcinać kupony od sławy i wyprzedawać magazyny.

Oczywiście, że tak mogłoby być, ale co bym robił? Nudziłbym się. Nawet kiedy ostatnio leżałem w szpitalu i czekałem na operację, to rysowałem cykl *Thanatos*. Myślałem sobie, że jeśli mnie nie wybudzą z narkozy, to zostaną prorocze rysunki o śmierci. Żartuję, po prostu rysowałem, bo lubię to robić. Zawsze lubiłem i nigdy nie wiedziałem, skąd przychodził temat. Myśl leci, ja rysuję.

Miałem w życiu kilka operacji, na ogół dostawałem znieczulenie zewnątrzoponowe, ale przeżyłem też pełną narkozę i to mi się absolutnie kojarzy ze śmiercią. Budzisz się po paru godzinach w zupełnie innej sytuacji, na innym łóżku, bywa, że w innej sali. Naprawdę dziwne uczucie. To jest to: nie było cię.

Istnieje bardzo dużo teorii o śmierci, przecież cały świat stoi na religiach, które obiecują życie po śmierci; powstają na ten temat dzieła sztuki, filmy. Wszystko zależy od wyobraźni artystów. Osobiście uważam, że dusza wcale nie waży tych osławionych dwunastu gramów, to pic na wodę. Życie człowieka to życie jego mózgu. To jest niesamowity organ – wykształcał się przez miliardy lat, a w rezultacie wykorzystujemy tylko parę procent jego możliwości. Nie teoretyzuję sobie ot tak, jak jakiś niby-guru, mówię z własnego doświadczenia. Kiedyś po pijaku tak ostro pieprznałem się w głowę, że widziałem podwójnie, słuch miałem z silnym pogłosem, straciłem smak. Straciłem zmysły. Poszedłem do neurologa, zrobili mi rezonans, jednemu profesorowi podarowałem akwarelę za skierowanie, drugiemu za to, że wepchnął mnie do szpitala bez kolejki. Obaj panowie profesorowie znali moje nazwisko, więc byli zachwyceni. Przeanalizowawszy wynik, stwierdzili, że mam poprzerywane pewne „synapsy”, wszystko jednak wróci do normy, bo mózg to genialny organ i się zregeneruje. Jak powiedzieli, tak



Mury obronne z cyklu Wózki, 1969

się stało. Znów mam smak, dość dobrze widzę, chociaż nie tak, jak powinienem, bo lata lecą, ale to osobna historia, za to słuch wrócił do normy. Pamiętam, że po tym wypadku siedziałem w fi lharmonii i byłem zdziwiony, że słyszę orkiestrę podwójnie.

Rysuję więc nawet na szpitalnym łóżku, może i na łożu śmierci porysuję. To by było ładne zamknięcie życia robotnika sztuki. Namalowałem jakieś sześć tysięcy obrazów. Prac na papierze, akwarel, rysunków, kolaży powstało z dwadzieścia pięć tysięcy.

Kilka lat temu w wywiadzie dla „Dużego Formatu” powiedziałeś, że jesteś księciem dużego państwa – tyle masz obrazów w magazynach, prac w szufl a dach. Pomyślałam sobie, że to idealnie do ciebie pasuje. Tytuł książki mógłby brzmieć *Dwurnik – książkę dużego państwa* albo *Moje królestwo*.